

Katarzyna Rygiel

Porozmawiajmy  
Tygrysie  
o Sztuce,



Katarzyna Rygiel

Rozmawiamy  
Tygrysie  
Słuchaj



Namalowała Magdalena Koziel-Nowak



## Leon poznaje Tygrysa



Leon był zwykłym chłopcem. Zwykłym niezwykłym, bo przecież każdy jest niezwykły, skoro różni się od innych ludzi – myśli po swojemu i lubi to, co lubi. Ośmioletni Leon często się nad tym zastanawiał, ale jeszcze nie wiedział, co lubi. Na razie uważnie się wszystkiemu przyglądał.

Oczywiście przepadał za różnymi rzeczami. Uwielbiał na przykład dźwięk słowa „przygoda”, choć nie mógł powiedzieć, że sam jakąś przeżył. Lubił czytać i chodzić do szkoły, co zdaniem jego kolegów z klasy było co najmniej niezrozumiałe, i lubił wiedzieć to i owo, nie dlatego, że zależało mu na bardzo dobrych stopniach – był zwyczajnie ciekawy, a może nawet ciekawski. Niby to to samo, ale jeśli się nad tym zastanowić, można dojść do wniosku, że człowiek ciekawski robi wszystko, by się czegoś dowiedzieć, podczas gdy ten, który jest tylko ciekawy – niekoniecznie.

Ciekawski Leon mieszkał w Warszawie i miał zwykłych niezwykłych rodziców: mamę, która pracowała w muzeum z najprawdziwszymi obrazami, i tatę tym różniącego się od innych ojców, że roztaczał wokół siebie zapach terpentyny służącej do rozrzedzania farb i mycia pędzli. Bo tata Leona był malarzem. Leon zastanawiał się czasem, dlaczego obrazy taty nie trafiają od razu do muzeum pod opiekę mamy, ale kiedy o to zapytał, dowiedział się, że te, które tam wiszą, są starsze. Czasem nawet bardzo stare. Mogą mieć sto albo dwieście lat. „Albo i pięćset” – mówiła mama, ale tego Leon już nie umiał sobie wyobrazić.





Zwykła niezwykła siostra Leona, Zuza, która niedawno skończyła sześć lat i nieustannie chwaliła się, że czyta prawie tak płynnie i szybko jak on, mówiła, że w takim razie nigdy nie zobaczą obrazów taty w muzeum, bo komu by się chciało czekać tak długo. Zresztą, jak mawiał tata, nie chodziło o to, by oglądać swoje prace w muzeum, ale by robić to, co się lubi. Leon był tego samego zdania.

Może dlatego tyle uwagi poświęcał książkom, których w domu nie brakowało. Odkąd nauczył się rozróżniać litery, książki zaczęły do niego mówić. Najpierw odczytywał napisy na grzbietach, potem zaglądał do środka. Raz, drugi, trzeci... Wciąż lubił książki z obrazkami, ale to tym bez obrazków poświęcał coraz więcej czasu, czując, że nie mają już przed nim tajemnic. Wyjątkiem były książki mamy pełne kolorowych obrazów. Nazywała je albumami, a obrazy – reprodukcjami. Leon wiedział już, co to znaczy: były to po prostu fotografie obrazów namalowanych dawno temu.

Albumy wydawały mu się dziwne. Inne. I co ciekawe, sprawiały wrażenie, jakby kryły jakiś sekret. A sekrety Leon lubił tak samo jak przygody. Wyczuwał je natychmiast i nie spoczął, dopóki nie znalazł rozwiązania zagadki.

Tego popołudnia, kiedy wszystko się zaczęło, był w domu sam. Nie, nie sam. Z tatą. Ale kiedy tata malował, zachowywał się tak, jakby go nie było. Zamknięty w swojej pracowni mieszał farby i wyczarowywał kolory, których Leon nawet nie umiał nazwać, tak jak nie wiedział, co musiałby zrobić, by tata opuścił swoje królestwo przed kolacją.

Leon siedział więc na podłodze obok największego regału w domu, z małym albumem na kolanach, i wpatrywał się w deszcz za oknem. Pięknie padało. Niezliczone cienkie strużki tworzyły w powietrzu przezroczystą, ruchomą zasłonę i trudno było oderwać od nich wzrok. Kiedy w końcu to

zrobił i zajrzał do książki, wydało mu się, że deszcz odgradza go nie tylko od świata za oknem, ale także od strony, na której umieszczono piękną, zieloną ilustrację.

I wtedy TO się stało. Zaszleściło, zaszumiało, zapachniało wilgotną ziemią i prawie natychmiast Leon poczuł, jak mokra koszula przylepia mu się do ciała. Spojrzał na nią z niedowierzaniem, a potem zerwał się na równe nogi. Zobaczył liście błyszczące od deszczu i trawy, cienkie i ostre, i tak wysokie, że gdyby się pochylił, mógłby się w nich ukryć. Zobaczył gałęzie poruszane silnymi podmuchami wiatru i egzotyczne czerwone rośliny. A kiedy błyskawica rozcięła niebo na kilka kawałków o poszarpanych brzegach, zobaczył tygrysa. Czał się w trawie, szczyrzył zęby i nerwowo poruszał ogonem.

Znowu błysnęło i Leon, który w ciągu kilku chwil przemókł do suchej nitki, zauważył ze zdumieniem, że błyskawice nie dawały światła. Pojawiały się na niebie i znikwały w okamgnieniu, ale tu, na dole, nic się nie zmieniało. Kolory miały ten sam odcień, a drzewa i trawy nie rzucały cienia. Pomyślał, że przynajmniej rozumie i rozpoznaje to, co widzi. Liście były liśćmi, a tygrys tygrysem i nic nie udawało czegoś, czym nie było. Leon uznał to za rzadkość. W albumach mamy roilo się od dziwnych ilustracji. Mógł trafić znacznie gorzej.

– Jestem w obrazie! – powiedział do siebie, próbując przeniknąć wzrokiem gąszcz liści. Miał nadzieję, że kiedy to usłyszy, uwierzy, że naprawdę jest w dżungli. A to nie było łatwe.

Tymczasem dżungla szemrała i pachniała. Pachniała i szemrała. Żyła.

– Zaskoczony? – odezwał się nagle tygrys. Puścił do niego oko i Leon natychmiast przypomniał sobie podpis pod reprodukcją w albumie. Obraz nosił dwa tytuły: *Zaskoczony!* i *Tygrys podczas burzy tropikalnej*.

– Mów za siebie – burknął niezbyt grzecznie i wytarł twarz mokrym rękawem. Trzeba przyznać, że oba były nadzwyczaj trafne.

– Drogi chłopcze, jestem zaskoczony od 1891 roku, kiedy to zostałem namalowany – odparł z godnością tygrys – czyli już ponad sto trzydzieści lat. Możesz sobie wyobrazić, jak trudno mieć ciągle ten sam wyraz twarzy?

Twarzy? Leon myślał, że się przesłyszał, więc podszedł bliżej. Deszcz, który jeszcze przybrał na sile, zniekształcał brzmienie słów. Na szczęście, jak to w tropikach, był ciepły i przyjemny jak wieczorny prysznic.

– Prawdę mówiąc, nie wydajesz się zaskoczony. Raczej przestraszony – zauważył chłopiec, przyjrzawszy się tygrysowi.

– O nie! Jeśli myślisz, że boję się burzy, muszę wyprowadzić cię z błędu. Osobiście nie znoszę wody, jestem w końcu kotem, i byłem nieco zasko-



czony, kiedy zaczęło padać, ale nie zapominaj, że tutaj pada codziennie. Naprawdę można się do tego przyzwyczaić. – To mówiąc, tygrys otrzepał się, a w powietrze wzbiły się tysiące nowych kropeł, które zderzały się z tymi lecącymi w dół i razem z nimi spadały na ziemię.

Leon nie zdążył się odsunąć. Był teraz jeszcze bardziej mokry, tak mokry, że nasiąknięte wodą ubranie zaczęło mu ciążyć.

– Coś ukrywasz, tygrysie – powiedział, próbując wyżyć dół koszulki.

– Wyglądasz, jakbyś nie wiedział, czy atakować, czy uciekać.

– Skąd wiesz?

– Obserwuję twój ogon.

– To dlatego, że nie jesteśmy tu sami – szepnął tygrys tak cicho, że Leon musiał stanąć naprawdę blisko, żeby go usłyszeć. – Wyczuwam jakiś zapach, ale w deszczu nie umiem go rozpoznać.

Szept tygrysa sprawił, że Leon poczuł niepokój i szybko ukrył się w wysokiej trawie.

– Hej, gdzie jesteś?! – zawołał tygrys.

– Leonku! – usłyszeli nagle kobiecy głos.

Leon wystawił głowę z zarośli.

– Leonku?! – zdumiał się tygrys. – Jak to możliwe, że mając sto trzydzieści centymetrów wzrostu, wciąż jesteś Leonkiem?

– To mama. Zawsze tak do mnie mówi. Ty nie masz mamy?

– Nie – odparł z przekonaniem tygrys. – Miałem tatę. W pewnym sensie. Nie takiego prawdziwego – dodał, bo Leon popatrzył na niego z niedowierzaniem. – Nazywał się Henri Rousseau. Namalował mnie.

– Henri? Co to za imię?

– Francuskie.

– A po polsku?

– Henryk – powiedział tygrys.

– Leonku! – wołanie stało się głośniejsze, więc dalsze wyjaśnienia trzeba było odłożyć na później. Mama była tuż-tuż.

– Chcesz zostać znaleziony? Nie? To wskakuj! – polecił tygrys. – Sprawdzimy, kto się czai w gąszczu.

Leonowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Usadowił się na grzbiecie tygrysa, chwycił sierść na jego karku i pozwolił się nieść przez dżunglę, gdzieś na skraj obrazu, tam, dokąd wiódł ich ledwo wyczuwalny zapach zdobyczy, a może drapieżnika.

Kogo albo czego może bać się taki duży kot? – zastanawiał się Leon, z niepokojem wpatrując się w ścianę zieleni zasnutej deszczem. Nie było ścieżki, ale tygrys doskonale znał drogę. W biegu trącał pnącza i liście, ocierał się o pnie drzew, ale był szybszy niż myśl Leona i szybszy niż błyskawice, które wkrótce przestały im towarzyszyć. Burza minęła, a może to oni zostawili ją daleko w tyle?

Wyszło słońce. Obaj, Leon i tygrys, przysiedli na chwilę, by się wysuszyć.

– Masz jakieś imię, tygrysie? – zagadnął Leon, gdy tygrys przestał sapać.

– Mów mi Tygrys – odparł Tygrys, układając się w trawie.

– Koniec pościgu?

– Deszcz zmył zapach. Dopadnę go następnym razem.

– Kogo?

– Kogoś – odparł leniwie Tygrys. – Podróżnika, myśliwego, zdobyczą, obiad...

Leon ukrył rozczarowanie za chmurką parującej z jego ubrań wilgoci, a wielki kot przymknął oczy, jakby drzemał. Jeśli zdążył zapaść w sen, nie dane mu było spać długo.

– Ta twoja burza nie jest prawdziwa, prawda, Tygrysie?

Tygrys uniósł jedną powiekę i zezując, spojrzął na Leona z wyrzutem.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Z powodu błyskawic. Nie dają światła. Słońce też nie. Sam popatrz. Świeci prosto na nas, ale żaden z nas nie rzuca cienia. Nie wydaje ci się to dziwne?

Tygrys westchnął. Potem polizał przednią łapę i przejechał nią po głowie jak typowy pręgowany dachowiec. Wreszcie przeciągnął się, usiadł i wlepił w Leona żółte oczyska.

– Ty namalowałeś cienie?

– Nie – stwierdził po namyśle Leon.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Chyba nie wiedziałbym, z której strony powinny się znaleźć.

A może...

– Może co?

– ...nie przyszłoby mi to do głowy.

– A może spróbowałbyś sam namalować dżunglę? – zaproponował Tygrys.

– Nie umiem.

– I o to właśnie chodzi – powiedział Tygrys pogodnie. – Henri Rousseau też nie umiał. W każdym razie nigdy się tego nie uczył. Jedni śmiali się z jego obrazów, inni je chwalili, ale on był przekonany, że ma talent, i malował tak, jak widział i czuł. Bardziej jak dziecko niż dorosły. Taki „dziecięcy” sposób malowania nazywa się malarstwem naiwnym albo prymitywizmem, a artystę, który tak maluje – malarzem naiwnym lub prymitywistą.

– To znaczy, że można malować, nie umiając? – upewnił się Leon.

– Na to wygląda – podsumował Tygrys, po czym bez uprzedzenia zanurkował w pobliskich zaroślach i przez chwilę Leon słyszał tylko gniewne



pomrukiwanie i trzask łamanych gałązek. Brzmiało to tak, jakby w gęstwinie buszowało stado rozwścieczonych słoni, a nie jeden sympatyczny tygrys.

– Zaraz... zaraz... gdzie ja to miałem... O, jest! – zawołał wreszcie. Zadowolony wychynął z gąszczu i podał Leonowi lunetę. – Włóczą się tutaj różni odkrywcy, podróżnicy i poszukiwacze przygód. Czasem gubią drogę, a czasem ekwipunek – wyjaśnił zaskoczonemu chłopcu. – Zerknij, proszę.

Leon zerknął. Pokręcił pierścieniem lunety, by poprawić ostrość. Zobaczył pokój, w którym nie tak dawno siedział, i otwarty album mamy. Zobaczył obraz z Tygrysem, tym samym, który teraz siedział obok niego, i drugi, który także przedstawiał tygrysa. Ale tamten tygrys wyglądał zupełnie inaczej.

– Dlaczego nie wskoczyłeś do tamtego obrazu? – zapytał Tygrys, gdy Leon bez słowa oddał mu lunetę.

– Nie wiedziałem, że mam wybór – odparł chłopiec. – Poza tym, to mogłoby być niebezpieczne. Tamten tygrys wydaje się groźny. Jak prawdziwy.

– A ja?

– Ty wyglądasz jak obrazek z książki dla dzieci.

– A więc rozumiałeś! – ucieszył się Tygrys. – Zrozumiałeś, na czym polega malarstwo naiwne. Henri znał tamten obraz. Wzorował się na nim. I też chciał namalować groźnego drapieżnika.

– Ale mu się nie udało – domyślił się Leon. – Namalował miłego Tygrysa. Ciebie.

Tygrys z przekonaniem pokiwał głową.

– Chodź ze mną – skinął na chłopca. – Coś ci pokażę.

Znowu weszli w zarośla, które zaraz się za nimi zamknęły. Leon miał wrażenie, że cały świat zrobił się nagle zielony. Niebo znikło, wysoko nad sobą widział korony drzew, a pod stopami miał miękki dywan, uginający się przy

